

## Komentarz do *Motocyklisty*

Ponad dwadzieścia lat temu Olga Mannheimer opowiedziała mi historię swojego ojca. Utkwiła mi ona w pamięci i teraz postanowiłem na jej podstawie napisać opowiadanie. Nosi ono tytuł *Motocyklista*. Wypadało spytać Olgę, czy nie ma nic przeciwko publikacji tego tekstu, bo to przecież jej historia. Gdy nawiązaliśmy kontakt, okazało się, że Olga też napisała opowiadanie o swoim ojcu, tyle że po niemiecku. Zostało ono opublikowane w Niemczech. Teraz w „Tekstualiach” oba opowiadania mogą się pojawić obok siebie. To może być ciekawe doświadczenie zarówno dla nas, autorów, jak i dla czytelników.

## Motocyklista

*Oldze Mannheimer*

Dawno temu, jeszcze przed drugą wojną światową, mieszkał w Falenicy Szlomo Tybinger. Posiadał na spółkę z bratem dom letniskowy z czterema mieszkaniami. Dom przynosił dochód, ale tylko latem. Dlatego Tybinger był dodatkowo kominiarzem. Czyścił kominy rzetelnie i nigdy nie spadł z dachu, co jest ważne, bo jak mawiano w Falenicy – kominarz spada z dachu tylko raz, a potem już zmienia fach albo stan egzystencji.

Jak wyglądał Szlomo Tybinger? Fatalnie. Powiedzmy, że jakiś niemiecki Helmut albo Fritz przez dwa lata nic by nie robił, tylko czytał pismo „Der Stürmer”, a potem kazano by mu narysować Żyda. Kogo by narysował? Tybingera. Urodę miał Szlomo taką, że nie podobał się ani Żydówkom, ani Polkom, ani Rosjankom, ani Francuzkom, o Niemkach nawet nie wspomnę. Ubolewał nad tym, ale co mógł poradzić.

Czy istniało coś, w czym znajdował pocieszenie? Owszem. Jego radością życia był motocykl SHL 98 wyposażony w znany silnik Villiersa i dostosowany do przewozu pasażera. Daleko mu było do Sokoła 1000, obciążony pasażerem rozpędzał się raptem do 50 kilometrów na godzinę. Szlomo jeździł sam, więc nieco szybciej. Zapłacił za swoją SHL-kę 768 złotych, podczas gdy za Sokoła trzeba było wybulić 4200, co całkowicie przekraczało jego możliwości.

Nie trzeba, moi mili, przekraczać 100 kilometrów na godzinę, żeby poczuć upojny pęd na wąskiej drodze Falenica – Błota, z głęboką radością brać zakręty na piaszczystych drózkach wzdłuż brzegu Wisły lub włączać się do ruchu na ważnej szosie Warszawa – Lublin. Każdą wolną chwilę spędzał Szlomo na swoim motocyklu i na swój sposób był szczęśliwy.

Gdy Adolf Hitler zażądał od Polski korytarza, Tybinger głęboko się zaniepokoił. Wprawdzie w gazetach pisano, że niech tylko Niemcy spróbują zaatakować, a będą uciekać z Polski świńskim truchtem, ale pisać można wiele. Szlomo obawiał się, że czytelnicy pisma „Der Stürmer” przyjadą pewnego dnia do Falenicy i nie spodobają im się tutejsze piaski, sosny, żydowscy kupcy siedzący na werandach, a zwłaszcza on. Przed laty uznano go za niezdolnego do służby wojskowej, walczyć o swoją Falenicę nie czuł się na siłach, pozostawała uciezka. Kupił dwa dwudziestolitrowe kanistry i napełnił je benzyną. Spakował plecak. Pierwszego września wybuchła wojna. Trzeciego Tybinger ruszył swoim motocyklem na wschód. SHL-ka paliła 2,5 litra na 100 kilometrów, więc 40 litrów w kanistrach i 13 w baku pozwalało mu przejechać około 2000 kilometrów. Kierował się na Siedlce, Białą Podlaską, Baranowicze, wreszcie, po dziesięciu godzinach wjechał do ZSRR. Dalej jechał na Mińsk, Smoleńsk, Moskwę, Arzamas, aż w Kazaniu okazało się, że kanistry są puste, a w baku została tylko rezerwa. To znak, że Najwyższy przeznaczył mu Kazan. Przespał się, siedząc na ławce, a rano odnalazł miejscowy bazar, gdzie spotkał Chaima Kokoszkę. Kokoszka znał świat i ludzi, słyszał nawet o cadyku Abrahamie Mordechaju Alterze z Góry Kalwarii, któremu zdarzało się bywać w Falenicy.

Kokoszka zatrudnił Tybingera jako pomocnika i załatwił mu pokój przy ulicy Bolszaja Krasnaja. Była to tak zwana komunałka, czyli duże mieszkanie, w którym gnieździło się kilka rodzin, zaciekle walczących o pierwszeństwo w dostępie do toalety i kawałek miejsca we wspólnej kuchni. Tybinger był człowiekiem skromnych wymagań, więc szybko przystosował się do życia w ZSRR. Śledził wiadomości z dalekiej Polski, martwił się o brata i każdej nocy drżał, że ktoś ukradnie mu motocykl.

Komunałka była miejscem pod każdym względem przeklętym, ale miała także jasną stronę. Była nią Luba Aleksandrowna Bugałapin, osoba lat dwudziestu dwóch, o miłej twarzy z lekko zadartym nosem, błękitnymi oczami i figurą nieco zbyt obfity, ale nader apetyczną. Luba Aleksandrowna chyba poczuła do Tybingera coś w rodzaju sympatii, bo mijając go w wąskim korytarzu komunałki, ocierała się o niego, a kiedyś, gdy spotkali się obok zajętej toalety, oparła się o niego tak, że poczuł jej duże, nabrzmiałe piersi i omal nie zemdlął ze szczęścia. Od tego dnia Tybinger czatował na korytarzu komunałki na Lubę Aleksandrowną, uśmiechał się do niej niezbyt mądrze, prawił wymyślne komplementy. Przyjmowała to z uśmiechem, jej nosek stawał się jeszcze bardziej zadarty, aż pewnej nocy, gdy Samuel wstał napić się wody i zastał w kuchni Lubę Aleksandrowną, ich usta połączył długi, namiętny pocałunek, a że Lubka była w samej koszulce, nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby ciszy nocnej nie przerwały kroki kogoś pośpiesznie udającego się do toalety.

Tybinger kupił wielki bukiet kwiatów i poszedł do pokoju ślusarza Aleksandra Iwanowicza Bugałapina oświadczyć się. Ojciec Luby obejrzał Szlomę od góry do dołu i oświadczył, że owszem, córce pora za męża, ale on osobiście nie dopuści, żeby jakiś Żydek pętał się po jego dwudziestometrowym pokoju w komunałce. Szloma zabrał swoje kwiaty i poszedł płakać za straconym szczęściem.

Sprawa nie była jednak ostatecznie zamknięta. O ile Bugałapin widział w Tybingerze Żyda i nic więcej, jego małżonka Lizawieła dostrzegła w nim pewne zalety. Tłumaczyła upartemu ślusarzowi, że Szloma to owszem Żyd, ale nie pije od rana do wieczora jak zwykły Rosjanin i wielu Tatarów (Kazań jest stolicą Tatarstanu). Uczciwie pracuje, pieniądze odkłada, poza tym przyjechał do Kazania na motocyklu, polskim wprawdzie, ale nie każdego mieszkańca ulicy Bolszaja Krasnaja stać na motocykl. Aleksander Iwanowicz pod wpływem małżonki zaczął z wolna przyznawać, że z Tybingera może i nienajgorszy człowiek, ale co z tego, skoro Żyd. W końcu i z tym się pogodził, a Szloma został oficjalnym narzeczonym Luby Aleksandrowny.

Nie ma jednak na tym świecie doskonałego szczęścia. Zawsze trafi się menda, która wszystko popsuje. Menda nazywała się Fiodor Prochorowicz Tiapkin i zajmowała najmniejszy pokój w komunałce. Fiodor Prochorowicz miał około czterdziestu lat, szurczy pyszczek i chytre oczka ukryte za okularkami. Od rana do wieczora jątrzył, psuł ludziom humor, aż dziw, że go do tej pory nie rozstrzelali, tyle że tematów politycznych unikał jak diabeł święconej wody.

Otóż tenże Tiapkin zdybał kiedyś Tybingera, gdy smażył sobie w kuchni kotlet. Przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, a potem rzekł:

- Znaczy, żenisz się Tybinger?
- Żenię. Za miesiąc stawiamy się w urzędzie.
- No i głupi jesteś jak but.
- Niby czemu? Lubka to piękna dziewczyna.
- Może ona i piękna. Ale w każdą piątkową noc idzie tu niedaleko na ulicę Karola Marksa 47, gdzie na trzecim piętrze mieszka student rabfaku Pietia Kułabyszew.
- Niemożliwe.
- Możliwe, bo prawdziwe. Idzie tam i student grzmoci ją tak, że aż się cała kamienica trzęsie.
- Nie wierzę.
- Lepszy majster z tego studenta. W poniedziałek chodzi do niego nocą Tania, w środę Swietłana, a w piątek ta twoja Lubka. W inne dni uczy się kanalia leninizmu-stalinizmu.

Tybinger sam nie wiedział: wierzyć czy nie. Przecież nie pójdzie do Luby, spytać:

- Kochanie, czy to prawda, że w każdą piątkową noc chodzisz do studenta rabfaku Kułabyszewa, który grzmoci cię tak, że się cała kamienica trzęsie?

Dreźczył się tym, aż postanowił, że sprawdzi rzecz na miejscu. W piątek wieczorem ukrył się w bramie domu naprzeciwko kamienicy Karla Marksa 47 i czekał. Rzeczywiście przed jedenastą pojawiła się na ulicy kobieca postać i weszła do bramy. Latarnie na ulicy Karla Marksa świeciły tak, jakby miały za chwilę umrzeć, toteż nie zdołał się postaci przyjrzeć. Może to była Luba, a może nie. Niedługo potem w oknie na trzecim piętrze pojawiły się dwie czule do siebie przytulone i całujące się zaciekle osoby. Potem światło w oknie zgasło.

Tybinger postanowił, że poczeka, aż kobieta wyjdzie, pójdzie za nią i sprawdzi, czy to jego narzeczona. Czas mijał, wokół panowała cisza, czasem przejechał jakiś samochód. I nagle w tej ciszy ktoś powiedział do Tybingera głośno i wyraźnie:

– Ruki w wierzch!

Samuel posłusznie uniósł ręce, po czym odwrócił się i ujrzał milicjanta celującego do niego z pistoletu.

– Ja tolka... – próbował się tłumaczyć, ale milicjant spojrzął groźnie i szepnął:

– Matcząć!

Tybinger zamilkł. Pod dom, przed którym stał, zajechały trzy samochody. Wskoczyli z nich milicjanci i wbiegli do bramy. Rozległy się strzały, słychać było tupot nóg, wreszcie milicjanci ukazali się znowu, prowadząc czterech barczystych drabów, których wepchnęli do furgonetki o zakratowanych oknach. Wraz z nimi wepchnęli i Tybingera.

Co się stało? Otóż w domu numer 46, przed którym stał, miał miejsce napad rabunkowy. Szloma niczego nie zauważył, ale milicja dostała cynk i zgarnęła Tybingera, uznając, że stoi na czujce, a po nim resztę bandy. Szloma był pewien, że sprawa szybko się wyjaśni, ale bandyci zgodnie zeznali, że to Tybinger był szefem, on namówił ich do napadu, a stał na czujce, bo nie lubi brudzić sobie rąk bandycką robotą. Szloma zaprzeczał, wreszcie zdecydował się powiedzieć prawdę o Lubie Aleksandrownie, studentie rabfaku Kułabyszewie oraz Fiodorze Prochorowiczu Tiapkinie. Zeznania odniosły jak najgorszy skutek. Luba Aleksandrowna obraziła się i oświadczyła, że o takiej kanalii jak Tybinger nawet słyszeć nie chce. Tiapkin przysięgał na wszystko, że nigdy ze Szłomą nie rozmawiał, nawet kiedy pewnego dnia czekali wspólnie w kolejce do toalety, zaciekle milczał. Student, owszem, mieszkał na trzecim piętrze domu pod numerem 47, ale zeznał, że owej nocy gościła u niego nie Luba Aleksandrowna, której, nawiasem mówiąc, w ogóle nie zna, ale Maria Dymitrowna. Nazwiska owej damy podać nie może, bo jej mąż jest zawodnikiem sekcji bokserskiej klubu Dynamo Kazań, a jemu, Kułabyszewowi, jeszcze życie miłe.

Tybinger został skazany na piętnaście lat kolonii karnej i pojechał sobie prościutko na Kołymę.

Co może zrobić w tłumie bandytów o mordach tak strasznych, że nawet w bajkach się tacy nie trafiają, człowiek mały, chudy, wyglądający jak Żyd i naprawdę będący Żydem? Nie ma znaczenia, że jadący z nim na Kołymę nigdy nie słyszeli o piśmie „Der Stürmer”. Ich nienawiść do Tybingera była tak straszna, jakby czytali to pismo od rana do nocy, a nawet przez sen. Żyd z Falenicy unikał, jak mógł, ich wzroku, krył się po kątach, szukał kawałka cienia, ale bandyci i tak go zauważyli. W nocy w baraku, gdzie po długiej podróży umieszczono Tybingera, rozpoczęła się dyskusja, czy zabić Żydka od razu, czy zostawić sobie tę przyjemność na później. Szloma drżał ze strachu pod dziurawym kocykiem, zastanawiał się, czy nie skoczyć w drzwi i nie rzucić się do ucieczki, ale za drzwiami była noc, śnieg, mróz i NKWD. Gdy tak myślał, w baraku powoli osiągnęli przezwagę zwolennicy chwilowego zostawienia Tybingera przy życiu.

– Jak ma żyć, to niech coś opowie – rzekł basem Wasia Korkociąg, wielki jak szafa bandyta leżący na górnym łóżku w kącie.

– Dobra – zgodzili się inni. – Niech opowiada.

Szloma zastanawiał się przez chwilę, a potem opowiedział, jak w jego domu letniskowym lokator z parteru, krawiec, zwałił do siebie sąsiadkę z piętra i miał z nią tak zwaną przyjemność. Jego żona, gdy się o tym dowiedziała, natychmiast poszła do sąsiada z piętra, kupca bławatnego, rozebrała się, ułożyła malowniczo na łóżku, ale kupiec przestraszył się i uciekł. Żona krawca uznała, że nie opłaca się jej tak od razu ubierać więc poszła naprzeciwko do kupca korzennego, którego żona wyszła akurat po zakupy. Kupiec korzenny z radością przyjął ten dar nieba i cudzołożył z nią tak, że jego żona, wracając z zakupów, już z pewnej odległości usłyszała żonę krawca, która bardzo intensywnie przeżywała miłość w jej pokoju. Wściekła poszła nie do siebie, lecz na parter, do doktora medycyny. Żona doktora akurat była w domu, więc żona kupca korzennego poszła naprzeciwko do krawca i oddała mu się bez żadnych ceregieli. Tymczasem doktorowa, podejrzewając męża o Bóg wie co, najpierw sprząła doktora po pysku, a potem poszła aż na strych, gdzie na sienniku spoczywał właściciel połowy pensjonatu Szloma Tybinger. Szloma nie podobał się kobietom żydowskim, polskim, francuskim, o niemieckich nie wspominając, ale doktorowa była tak wzburzona, że obaliła go na siennik i zgwałciła. Na tym cała sprawa się skończyła.

Bandytom bardzo spodobała się ta opowieść, a Waśka Korkociąg głośno krzyczał, że gdyby on tam był, dopiero by pokazał, co potrafi prawdziwy rosyjski molojiec. Potem barak zasnął i tak udało się Tybingerowi przeżyć jeszcze jeden dzień.

Następnej nocy bandyci znów kazali Szłomie opowiadać. Nie znał już tak smakowitej historii, więc opowiedział o tym, że w dawnych czasach Kozacy robili częste wyprawy na Krym i wielu z nich dostało się do niewoli. Było tam też wiele pięknych dziewcząt, które Tatarzy zgarnęli w jasyr. Kozacy nie mogli wytrzymać złego traktowania. Wybrali dwóch przedstawicieli, którzy udali się na górę Czatyrdah i stojąc na jej szczycie poprosili Wielkiego Czarownika Siczy, by zesłał na Tatarów długie, ciężkie sen. Trzy dni później w południe Tatarzy zasnęli. Kozacy z kobietami ruszyli w stronę morza. Byli już blisko, gdy Tatarzy zbudzili się i rzucili w pogoń. Wtedy Wielki Czarownik Siczy sprawił, że fale morza Czarnego rozstąpiły się i Kozacy poszli dnem morskim w stronę swojej ojczyzny. Tatarzy chcieli ich ścigać, ale fale powróciły na swoje miejsce i wszyscy Tatarzy utonęli. Ta opowieść spodobała się niemniej niż poprzednia i niejednemu bandycie przyśniło się tej nocy, że ucieka z Kółmy, dociera do morza, które rozstępuje się przed nim i topi ścigających zbiega enkawudzistów.

Następnej nocy Tybinger opowiedział, że istniał kiedyś ogromny Czuczka nazwiskiem Goliatow. A opodal wśród Koriaków żył młodzieniec drobny i wielce przystojny nazwiskiem Dawidow. Goliatow to była prawdziwa bestia. Miał prawie trzy metry wzrostu, szerokie bary, wielki i twardy łeb, oczka nieduże, ale za to wściekłe. Zabić człowieka to było dla niego tyle, co splunąć, trzeba go było bez przerwy powstrzymywać, gdyby nie to, nie zostałby przy życiu zaden z jego sąsiadów. Pewnego razu Czuczke postanowili napaść

na Koriaków. Otoczyli ich wioskę i zażądali kobiet i wszelkiego dobytku. Naczelnik wioski zaproponował, żeby wojnę rozstrzygnął pojedynek jeden na jeden. Czucze wystawili Goliatowa. Koriacy Dawidowa. Goliatow trzymał w ręku ogromny kamienny topór. Dawidow procę. Dalszy ciąg znamy.

Tybinger opowiadał o tym pełen strachu, bo mieszkańcy baraku bardziej przypominali Goliatowa niż Dawidowa i mogło im się nie spodobać, że został pokonany. Jednak zakończenie spotkało się z powszechnym aplauzem. Bandyci byli to ludzie doświadczeni, każdy z nich spotkał choć raz w życiu swojego Goliatowa i oberwał porządnie po mordzie.

Czemu Tybinger opowiadał w łagrze takie rzeczy? To proste. Mówił o tym, co dobrze znał, przenosząc miejsce potopu w pobliże Wołgi, Sodomę umiejscawiając w okolicach Samary i tak dalej. Bandyci przyzwyczaili się do jego opowieści i każdego wieczoru domagali się nowej. Ale nawet Świętej Księgi nie da się opowiadać przez czternaście lat. W końcu zaczął zmyślać niestworzone historie, ale i tych wysłuchiowano z uwagą.

Co rozbił poza tym? Pracował przy drodze M56 łączącej Niżnij Biestiach z Magadanem. Budowano ją przez czternaście lat, bez żadnego sprzętu, a że liczy ponad 2000 kilometrów, trochę czasu na to zeszło. Szosę tę nazywają Drogą Szkieletów, bo wielu przy budowie zmarło i zostało pochowanych na poboczu. Z czasem drogę poszerzono, więc teraz jeździ się po cmentarzu. Kto by się takimi rzeczami przejmował.

Kości Tybingera też by tam zostały, ale bandyci dbali, by żył. Doczekał śmierci Stalina a potem amnestii. Wypuścili i pozwolili wrócić do Falenicy.

Wysiadł z pociągu, wyszedł na ulicę przed dworcem i zdumiał się. Falenicy nie było. Znikła główna ulica Handlowa, po domu letniskowym zostały osmolone fundamenty. Nie było brata ani innych Żydów, okazało się, że w miejscu, gdzie spędził tyle lat, prawie nikogo nie zna. Zostały mu tylko kołymskie opowieści i trochę pieniędzy, które dostał z okazji powrotu. Kupił za nie motocykl SHL M05, dwa dwudziestolitrowe kanistry na benzynę, wystarał się o paszport i ruszył na południe. SHL M05 był nieco szybszy od zaginionej w Kazaniu trzydziestoósemki, jazda pewnie sprawiała mu niemniejszą radość od tej z 1939 roku. Długo jechał do Izraela, gdzie zamieszkał w mieście Aszkelon. Tam opowiedział swoje dzieje pewnej izraelskiej poetce, a ona wiedząc, że jestem z Falenicy, opowiedziała o Szlomie Tybingerze mnie. Tak wędruje przez świat opowieść o człowieku, który przez czternaście lat opowiadał najgorszego rodzaju bandytom starotestamentowe historie.

koniec